

TOM ROB SMITH

FARMA

THRILLER PSYCHOLOGICZNY AUTORA
BESTSELLEROWEGO **SYSTEMU**



Dopóki nie odebrałem tego telefonu, to był zwyczajny dzień. Obładowany zakupami szedłem przez Bermondsey, podmiejską dzielnicą Londynu, na południe od Tamizy. Był duszny sierpniowy wieczór i słysząc dzwonek komórki, zastanawiałem się, czy go nie zignorować, bo chciałem jak najszybciej wrócić do domu i wziąć prysznic. Ostatecznie jednak górę wzięła ciekawość. Zwolniłem, wyjąłem komórkę z kieszeni i przycisnąłem ją do ucha – na wyświetlaczu osiadły kropelki potu. Telefonował mój tato. Niedawno przeniósł się do Szwecji i fakt, że stamtąd dzwonił, był czymś niezwykłym; rzadko korzystał z komórki i połączenie z Londynem musiało go kosztować krocie. Tato płakał. Zatrzymałem się gwałtownie i upuściłem torbę z zakupami. Nigdy wcześniej nie słyszałem go płaczącego. W mojej obecności rodzice nigdy się nie kłócili i nie tracili nad sobą panowania. W naszym domu nie było głośnych awantur i zalewania się łzami.

- Tato? – odezwałem się.
- Twoja matka... Nie czuje się dobrze.
- Mama zachorowała?
- To takie smutne.

– Smutne, bo jest chora? Na co jest chora? Na co zachorowała?

Tato nadal płakał. Mogłem tylko bezradnie czekać, aż znowu się odezwie.

– Ma omamy... wyobraża sobie straszne, potworne rzeczy.

To, że mówił o omamach, a nie o jakiejś fizycznej dolegliwości, było tak dziwne i zaskakujące, że aż przykucnąłem. Oparłem dłoń o ciepłą, popękaną płytę chodnika i obserwowałem strużkę czerwonego sosu, która wyciekała z upuszczonej torby z zakupami.

– Od jak dawna? – zapytałem w końcu.

– Przez całe lato.

A zatem trwało to kilka miesięcy, a ja o niczym nie wiedziałem; tato, zgodnie z naszą rodzinną tradycją, wołał wszystko skrywać.

– Byłem przekonany, że zdołam jej pomóc – dodał, domysłając się, co myślę. – Może czekałem zbyt długo, ale symptomy narastały stopniowo... każdemu zdarzają się chwile rozdrażnienia i dziwne komentarze. Potem pojawiły się oskarżenia. Twierdzi, że są oparte na solidnych podstawach, mówi o dowodach rzeczowych i o podejrzanych, ale to wszystko bzdury i kłamstwa.

Mówił teraz głośniej, odzyskał werwę, już nie płakał. Wysławiał się w spójny sposób. W jego głosie pobrzmiwał nie tylko smutek.

– Miałem nadzieję, że to minie, że mama potrzebuje po prostu trochę czasu, żeby przystosować się do życia w Szwecji, na farmie. Ale jej stan stale się pogarszał. A teraz...

Rodzice należeli do pokolenia, które nie odwiedzało lekarzy, chyba że chodziło o ranę, którą można było zobaczyć na własne oczy albo poczuć pod palcami. Zwierzanie się komuś obcemu z intymnych szczegółów własnego życia było dla nich czymś niewyobrażalnym.

– Powiedz, że była u lekarza, tato.

– Stwierdził, że wystąpił u niej epizod psychiatryczny. Danielu...

– Mama i tato byli jedynymi ludźmi na świecie, którzy nie skracali mojego imienia do formy Dan. – Twoja mama jest w szpitalu. Skierowano ją na przymusowe leczenie.

Słyszac tę ostatnią informację, otworzyłem usta, żeby jakoś zareagować, ale nie miałem pojęcia, co powiedzieć czy może wykrzyknąć. W rezultacie w ogóle się nie odezwałem.

– Danielu?

– Tak.

– Słyszałeś, co powiedziałem?

– Słyszałem.

. . .

Minął mnie samochód z wgniecioną karoserią. Kierowca zwolnił i uważnie mi się przyjrzał, ale się nie zatrzymał. Zerknąłem na zegarek. Była ósma wieczór i szanse, że złapię samolot jeszcze tego dnia, wydawały się zerowe. Polecę jutro z samego rana. Uznałem, że zamiast ulegać emocjom, powinienem podejść do sytuacji w rzeczowy sposób. Rozmawialiśmy jeszcze chwilę. Po dramatycznych pierwszych minutach wróciliśmy obaj do normalnego tonu – wyważonego i opanowanego.

– Zarezerwuję samolot na jutro rano i do ciebie zadzwonię – powiedziałem. – Jesteś na farmie czy w szpitalu?

Był na farmie.

. . .

Rozłączywszy się, zacząłem opróżniać torbę z zakupami, wyciągając z niej wszystkie artykuły i stawiając je w rzędku na chodniku. W końcu znalazłem rozbity słoik z sosem pomidorowym i ostrożnie go wyjąłem. Odłamki szkła trzymały się tylko na nalepce. Wyrzuciłem słoik do pobliskiego śmietnika, wróciłem do wyjętych zakupów i zacząłem wycierać je z sosu

serwetkami. Mogło się to wydać bezsensowne – do diabła z torbą, moja mama była poważnie chora – ale rozbity słoik mógł się zupełnie rozpaść i sos zabrudziłby wszystko dokoła, a poza tym te proste czynności miały w sobie coś kojącego. Zabrałem zakupy i szybszym niż wcześniej krokiem wróciłem do domu, na najwyższe piętro dawnej fabryki, którą przerobiono na lofty. Biorąc zimny prysznic, zastanawiałem się, czy nie powinienem się rozplakać. Zadawałem sobie to pytanie, jakby chodziło o decyzję, czy zapalić papierosa. Czy nie jest to moim synowskim obowiązkiem? Płacz powinien być czymś odruchowym. Ale nie wyrażam spontanicznie emocji. Uchodzę za człowieka powściągliwego. W tym wypadku nie chodziło o ostrożność, lecz o niedowierzanie. Nie mogłem zareagować w emocjonalny sposób na sytuację, której nie rozumiałem. Nie zamierzałem wybuchnąć płaczem. Było zbyt wiele pytań bez odpowiedzi, by płakać.

. . .

Po wzięciu prysznica siadłem przy komputerze i przestudiowałem maile, które mama przesłała mi w ciągu minionych pięciu miesięcy. Miałem nadzieję, że znajdę tam jakieś oznaki, które wcześniej przeoczyłem. Odkąd rodzice wyjechali w kwietniu do Szwecji, ani razu się z nimi nie widziałem. Na pożegnalnym przyjęciu w Anglii wznosiliśmy toasty za ich spokojną emeryturę. Wszyscy goście stali przed ich dawnym domem i machali im czule na pożegnanie. Nie mam rodzeństwa, nie znam żadnych wujów ani ciotek i mówiąc o rodzinie, miałem zawsze na myśli naszą trójkę – mamę, tatę i mnie – trójką podobny do fragmentu konstelacji, trzy jasne gwiazdy, które trzymają się blisko siebie i które otacza pusta przestrzeń. Nieobecność krewnych nigdy nie została dokładnie

wyjaśniona. Czasami o tym niejasno napomykali – oboje dorastali w trudnych warunkach i zerwali stosunki z własnymi rodzicami. Byłem pewien, że powzięte przez nich postanowienie, by nigdy nie klócić się w mojej obecności, wynikało z tego, że chcieli mi zapewnić dzieciństwo, które różniłoby się od ich własnego. Ich motywacja nie miała nic wspólnego z brytyjską rezerwą. Nigdy nie szczędzili mi miłości i ciepła; dawali je odczuć przy każdej okazji. Kiedy dobrze się nam działo, świętowali, kiedy działo się gorzej, nie tracili optymizmu. Dlatego ludzie uważali, że dorastałem w cieplarnianych warunkach – w mojej pamięci zachowały się tylko dobre chwile. Złe były skrywane. Zaakceptowałem ten układ. Nie próbowałem go naruszać. Przyjęcie pożegnalne było bardzo udane, goście wiwatowali, gdy rodzice wyruszyli w podróż, rozpoczynając swoją wielką przygodę. Mama wracała do kraju, który opuściła, mając zaledwie szesnaście lat.

. . .

Zaraz po przyjeździe na odległą, położoną na południu Szwecji farmę pisała do mnie regularnie. Opisywała w mailach, jak wspaniałe jest życie na wsi, jak piękna jest okolica i jak życzliwi są miejscowi ludzie. Jeśli dawała do zrozumienia, że coś nie jest w porządku, robiła to tak subtelnie, że w ogóle to do mnie nie dotarło. W następnych tygodniach jej maile stały się krótsze i mniej w nich było zachwyków. Wziąłem to za dobry znak. Mama na pewno się zadowoliła i nie miała zbyt dużo wolnego czasu. Jej ostatni mail był jak błysk flesza:

Danielu!

Nic więcej, tylko moje imię i wykrzyknik. W odpowiedzi

napisałem, że coś się popsło na łączach, jej mail nie doszedł i żeby wysłała go ponownie. Uznałem, że ten składający się z jednego słowa mail to błąd. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogła go wysłać w chwili rozpaczy.

. . .

Sprawdziłem całą naszą korespondencję, obawiając się, że okazałem się ślepy i głuchy, i zadając sobie pytanie, co jeszcze mogłem przeoczyć. Nie znalazłem jednak żadnych oznak świadczących o braku równowagi psychicznej ani żadnych urojeń czy omamów; pisała rzeczowym normalnym stylem, przeważnie po angielsku, bo chociaż w dzieciństwie uczyła mnie szwedzkiego, do tej pory zdążyłem go prawie zapomnieć. Jeden z maili zawierał dwa duże załączniki – fotografie. Na pewno obejrzałem je już wcześniej, ale w ogóle sobie tego nie przypominałem. Na ekranie pojawiło się pierwsze zdjęcie przedstawiające zwykłą stodołę z zardzewiałym blaszanym dachem, szare niebo i stojący na dworze traktor. Powiększając szybką kabiny, zobaczyłem na niej odbicie robiącej fotografię mamy, z twarzą do tego stopnia prześwieconą przez błysk flesza, że można było odnieść wrażenie, iż jej głowa eksplodowała jasnym światłem. Drugie zdjęcie przedstawiało tatę stojącego przed ich domem i rozmawiającego z wysokim nieznajomym. Było chyba zrobione bez wiedzy ojca, z dużej odległości i przypominało bardziej zdjęcie z ukrycia niż miłą rodzinną fotkę. Ani jedna, ani druga fotografia nijak się nie miała do zachwyków nad piękną okolicą, ale nie drażyłem oczywiście tej kwestii; odpisałem, że nie mogę się doczekać, by zobaczyć na własne oczy ich gospodarstwo. Kłamałem. Nie paliłem się do tej wizyty i przesunąłem już dwa razy jej termin, z wczesnego na późne lato, a następnie na wczesną jesień, tłumacząc to niejasnymi i

nie do końca prawdziwymi powodami.

. . .

Tak naprawdę opóźniałem ten wyjazd, bo się bałem. Nie przyznałem się rodzicom, że mieszkam ze swoim partnerem i że znamy się już od trzech lat. Oszukiwałem ich od tak dawna, że nie ulegało dla mnie wątpliwości, iż wyznając prawdę, zniszczę naszą rodzinę. Na studiach chodziłem z różnymi dziewczynami, rodzice zapraszali je na kolacje i chwalili mój wybór – dziewczyny były piękne, zabawne i inteligentne. Jednak kiedy się rozbiegały, nie biło mi szybciej serce, a w trakcie uprawiania seksu skupiałem się w profesjonalny sposób na wykonaniu zadania, wierząc, że skoro potrafię dawać tym dziewczynom przyjemność, to nie jestem gejem. Dopiero gdy zamieszkałem poza domem, pogodziłem się z prawdą i powiedziałem o wszystkim moim przyjaciółom, ale nie mamie i tacie – nie ze wstydu, lecz z podszytego dobrymi intencjami tchórzostwa. Bałem się, że zniszczę pamięć mojego dzieciństwa. Rodzice dawali z siebie wszystko, by stworzyć dla mnie szczęśliwy dom, poświęcali się, przyrzekli sobie, że będą jak ognia unikali wszelkich konfliktów i zapewnią mi wolny od stresów azyl. Ani razu nie złamali tego postanowienia i kochałem ich za to. Dowiedziawszy się prawdy, z pewnością doszliby do wniosku, że zawiedli na całej linii. Przypomnieliby sobie wszystkie kłamstwa, które musiałem opowiadać. Uznaliby, że byłem samotny i udręczony, prześladowany i ośmieszany. Tymczasem nic z tego nie było prawdą. Okres dojrzewania był dla mnie łatwy. Przekroczyłem lekkim krokiem próg między dzieciństwem a dorosłością – moje jasnoblonde włosy lekko tylko zmatowiały, a jasnoniebieskie oczy nie zmatowiały w ogóle – a wraz z męską urodą pojawiła się niezасłużona popularność. Przeżyłem te lata,

unosząc się w przestworzach. Nawet swój sekret traktowałem z pogodą ducha. Nie przyprowadził mnie bynajmniej o smutek. Po prostu nigdy zbyt głęboko się nad nim nie zastanawiałem. Wszystko sprowadzało się do jednego: nie chciałem, by rodzice doszli do wniosku, że kiedykolwiek zwątpiłem w ich miłość. Wydawało mi się to wobec nich niesprawiedliwe. Wyobrażałem sobie, jak sam nie wierząc w swoje słowa, powtarzam z desperacją: „Przecież to niczego nie zmienia!”.

Byłem pewien, że przytulą do serca mojego partnera i będą się cieszyli z naszego związku, tak jak cieszyli się ze wszystkiego, mimo że zostanie w nich przecież jakiś gorzki osad. Moje idealne dzieciństwo pójdzie w niepamięć i będziemy je opłakiwać niczym odejście ukochanej osoby. Więc tak naprawdę odkładałem wizytę w Szwecji, ponieważ obiecałem mojemu partnerowi, że w jej trakcie powiem rodzicom prawdę i po wszystkich tych latach nareszcie zdradzę im jego imię.

. . .

Mark, który wrócił późnym wieczorem do domu, zorientował się, że sprawdzam w internecie najbliższe loty do Szwecji, i nim zdążyłem coś wyjaśnić, uśmiechnął się, święcie przekonany, że nasze życie w kłamstwie dobiegnie wreszcie końca. Ponieważ nie udało mi się zapobiec nieporozumieniu, musiałem skorygować jego oczekiwania, powtarzając eufemizm, którego użył tato:

– Moja mama zachorowała.

Przykro było patrzeć, jak Mark robi dobrą minę do złej gry, starając się ukryć rozczarowanie. Był ode mnie jedenaście lat starszy, niedawno skończył czterdziestkę i mieszkanie należało do niego. Mógł je sobie kupić, bo był wziętym korporacyjnym prawnikiem. Robiłem wszystko, by odgrywać w naszym związku

równorzędną rolę, upierając się, że będę płacił za czynsz tyle, na ile będzie mnie stać, jednak, prawdę mówiąc, stać mnie było na niewiele. Pracowałem jako projektant w firmie, która projektowała ogrody na dachach domów, i płacono mi tylko wtedy, gdy dostawaliśmy zamówienia, a recesja sprawiła, że nie mieliśmy ich zbyt dużo. Co takiego widział we mnie Mark? Przypuszczałem, że marzył o spokojnym domowym życiu, w której to dziedzinie byłem ekspertem. Nie kłóciłem się. Nie urządzałem scen. Idąc w ślady rodziców, starałem się ze wszystkich sił uczynić z naszego domu azyl, w którym schronimy się przed światem. Mark był przez dziesięć lat żonaty z kobietą i ich związek zakończył się bolesnym rozwodem. Jego była oświadczyła, że ukradł jej najlepsze lata życia, że wypalił ją emocjonalnie i teraz w połowie trzydziestki nie zdoła już znaleźć prawdziwego partnera. Mark przyjął to do wiadomości i miał silne poczucie winy. Nie sądziłem, by kiedykolwiek się go pozbył. Widziałem jego fotografie z czasów, gdy miał dwadzieścia kilka lat, tryskającego energią i optymizmem i paradującego w drogich garniturach. Chodził wtedy na siłownię i miał potężne bicepsy i klatę. Odwiedzał kluby ze striptizem i organizował wieczory kawalerskie swoim kolegom. Śmiał się do rozpuku z dowcipów i klepał ludzi po plecach. Ostatnio już się tak nie śmiał. W trakcie rozvodu jego rodzice stanęli po stronie byłej żony. Zwłaszcza ojciec Marka odnosił się do niego z wyraźną niechęcią. Już ze sobą nie rozmawiali. Mama Marka przysyłała nam na Boże Narodzenie muzyczne pocztówki, jakby chciała powiedzieć coś więcej, ale nie bardzo wiedziała jak. Ojciec nigdy nie podpisywał się pod życzeniami. Zastanawiałem się czasem, czy moi rodzice nie stanowią przypadkiem dla Marka drugiej szansy. Nie muszę chyba dodawać, że miał pełne prawo prosić ich, by uczestniczyli w naszym życiu. Godził się na zwłokę tylko

dlatego, że sam bardzo długo zwlekał z ujawnieniem swojej orientacji i czuł, że nie wolno mu mieć pod tym względem zbyt wygórowanych oczekiwań wobec innych. Na jakimś poziomie wykorzystywałem chyba ten fakt. Uwalniał mnie od presji. Pozwalał odsuwać daleko w przyszłość moment prawdy.

. . .

W najbliższym czasie nie miałem żadnych zleceń, a zatem nie nie przeszkadzało mi natychmiast lecieć do Szwecji. Problemem było to, skąd wezmę pieniądze na bilet. Ponieważ ani słowem nie wspomniałem rodzicom o Marku, nie mogłem w żadnym wypadku prosić, by to on pokrył koszty. Wyczyściłem swoje konto, wykorzystałem cały limit kredytowy i zarezerwowawszy bilet, zadzwoniłem do taty, by przekazać mu dokładne informacje. Pierwszy samolot startował z Heathrow o wpół do dziesiątej i lądował w Göteborgu w południe. W odpowiedzi usłyszałem od taty tylko kilka słów; robił wrażenie przybitego. Martwiąc się, jak sobie radzi na położonej na odludziu farmie, zapytałem, co robi.

– Robię porządki – odparł. – Opróżniła wszystkie szuflady, wszystkie szafki.

– Czego szukała?

– Nie wiem. Nie widzę w tym żadnego sensu. Pisała na ścianach, Danielu.

Zapytałem, co takiego pisała.

– Nieważne – odparł.

. . .

Nie było mowy, żebym zasnął tej nocy. Wspominałem bez przerwy mamę, wracając uparcie do chwili, gdy będąc przed dwudziestu laty razem w Szwecji, sami na małej wysepce na

archipelagu na północ od Göteborga, siedzieliśmy obok siebie na skale i moczyliśmy stopy w wodzie. W oddali wypływał na pełne morze statek handlowy i patrzyliśmy, jak w naszą stronę wędruje jego fala dziobowa, pojedyncza zmarszczka na gładkiej tafli wody. Żadne z nas nie ruszyło się z miejsca, trzymaliśmy się tylko za ręce, czekając na to, co nieuniknione, a sunąca po płyciźnie fala z każdym metrem rosła i rosła, i w końcu rozbiła się o skałę, przemaczając nas do suchej nitki. Utkwiło mi to w głowie, ponieważ byłem w tamtym czasie bardzo związany z mamą i nie wyobrażałem sobie, bym mógł podjąć jakąś ważną decyzję, nie pytając jej o zdanie.

. . .

Nazajutrz rano Mark uparł się, że odwiezie mnie na Heathrow, mimo że obaj wiedzieliśmy, że szybciej dostanę się tam transportem publicznym. Kiedy utknęliśmy w korku, nie narzekałem ani nie zerkąłem na zegarek, świadom tego, że bardzo chciałby tam ze mną polecieć i że sam mu to uniemożliwiłem. Przed budynkiem terminalu uściskał mnie. Ku mojemu zaskoczeniu był bliski płaczu – czułem stłumione wibracje w jego piersi. Zapewniłem go, że nie ma sensu, by odprowadzał mnie do środka, i pożegnaliśmy się na zewnątrz.

. . .

Trzymając w ręku bilet i paszport, miałem już zamiar zgłosić się do odprawy biletowej, kiedy zadzwonił telefon.

- Nie ma jej tu, Danielu!
- Gdzie jej nie ma, tato?
- W szpitalu! Wypuścili ją. Wczoraj tam pojechaliśmy. Nie chciała tam sama pojechać. Ale gdy ją tam zawiozłem, nie protestowała, więc uznano, że zgłosiła się z własnej woli. I kiedy

ją zostawiłem, przekonała lekarzy, żeby ją zwolnili.

– Przekonała ich? Mówiłeś, że rozpoznali u niej psychozę.

Nie odpowiedział.

– Lekarze nie konsultowali z tobą jej zwolnienia? – naciskałem.

– Poprosiła ich chyba, żeby się ze mną nie kontaktowali – odparł ciszej.

– Dlaczego miałyby ich o to prosić?

– Wobec mnie też wysuwa oskarżenia – powiedział. – Nic z tego, co mówi, nie jest prawdą – dodał szybko.

Teraz ja z kolei przez dłuższą chwilę się nie odzywałem. Chciałem zapytać, co to za oskarżenia, ale nie potrafiłem się do tego zmusić. Usiadłem na torbie i skryłem głowę w dłoniach. Stojący w kolejce ludzie musieli mnie omijać.

– Czy mama ma komórkę? – zapytałem.

– Rozbiła ją kilka tygodni temu. Uważa, że nie są bezpieczne.

Przez chwilę wyobrażałem sobie moją oszczędną matkę w irracjonalny sposób rozbijającą telefon. Tato opisywał zachowania osoby, której nie znałem.

– Ma jakieś pieniądze? – zapytałem.

– Prawdopodobnie niewiele... cały czas nosi ze sobą skórzaną torbę. Ani na chwilę nie spuszcza jej z oczu.

– Co w niej jest?

– Różne śmieci, do których przywiązuje wielką wagę. Nazywa je dowodami rzeczowymi.

– Jak opuściła szpital?

– Nie chcą mi nawet powiedzieć. Może być wszędzie!

– Ty i mama macie wspólne rachunki bankowe. – Czułem, jak po raz pierwszy ogarnia mnie panika. – Możesz zadzwonić do banku i zapytać ich o ostatnią transakcję. Namierzysz ją dzięki karcie.

Po milczeniu, jakie zapadło w słuchawce, domyśliłem się, że

ojciec nigdy wcześniej nie dzwonił do banku; załatwianie spraw finansowych zawsze zostawiał mamie. W ich wspólnej firmie to ona robiła bilanse, płaćiła rachunki i sporządzała zeznania podatkowe. Miała dryg do liczb i potrafiła godzinami przekopywać się przez faktury i kwity. Pamiętałem jej staroświecką księgę rachunkową z epoki przed nastaniem arkuszy kalkulacyjnych. Naciskała pióro tak mocno, że cyfry były niczym alfabet Braille'a.

– Skontaktuj się z bankiem, tato, i oddzwon.

. . .

Opuściłem kolejkę i wyszedłem z budynku terminalu. Mijając grupki palaczy, rozmyślałem o bląkającej się gdzieś po Szwecji mamie. Mój telefon zadzwonił ponownie. Zdziwiłem się, że tacie udało się tak szybko załatwić sprawy w banku, ale to nie był on.

– Wysłuchaj mnie uważnie, Danielu – usłyszałem głos mamy.
– Dzwonię z budki i nie mam za dużo pieniędzy. Twój ojciec na pewno już z tobą rozmawiał. Wszystko, co ci powiedział ten człowiek, jest kłamstwem. Nie zwariowałam. Nie muszę iść do psychiatry. Muszę iść na policję. Zaraz wsiadam na pokład samolotu lecącego do Londynu. Czekać na mnie na Heathrow, w terminalu... – Przerwała, żeby spojrzeć na bilet.

– Mamo! – zaczęłam niepewnie, korzystając z tego, że przestała mówić.

– Nie przerywaj mi, Danielu, mam bardzo mało czasu. Czekać na mnie w terminalu pierwszym. Za dwie godziny. Jeśli zadzwoni ojciec, pamiętaj, żeby...

Połączenie się urwało.

. . .

Próbowałem dodzwonić się pod numer, który się wyświetlił,

w nadziei, że odbierze, ale bez skutku. Kiedy szykowałem się, żeby zrobić to ponownie, zadzwonił ojciec.

– Dziś rano o siódmej dwadzieścia – zaczął bez żadnych wstępów, jakby czytał to, co sobie zanotował – zapłaciła czterysta funtów na lotnisku w Göteborgu. Na rzecz Scandinavian Airlines. Jest w drodze do ciebie! Danielu?

– Tak?

Dlaczego nie powiedziałem mu, że mama chwilę wcześniej do mnie dzwoniła, i wiem, że się do mnie wybiera? Czy jej uwierzyłem? Przemawiała autorytatywnym, stanowczym tonem. Spodziewałem się potoku chaotycznych słów, a nie jasnych i klarownych zdań. Byłem zdezorientowany. Wolałem nie powtarzać tacie, że uważa go za kłamcę. Bałem się, że usłyszy w moim głosie agresywny i konfrontacyjny ton.

– Spotkam się z nią tutaj – wydukałem w odpowiedzi. – Kiedy przylatujesz?

– Nie przylatuję.

– Zostajesz w Szwecji?

– Jeśli uzna, że jestem w Szwecji, nie będzie taka spanikowana. Wbiła sobie do głowy, że ją ścigam. Jeśli tu zostanę, zyskasz na czasie. Musisz ją przekonać, że potrzebuje pomocy. Ja nie potrafię jej pomóc. Nie pozwoli mi. Zabierz ją do lekarza. Masz na to większe szanse, jeśli nie będzie się bała, że przyjeżdżam.

Nie bardzo nadążałem za jego rozumowaniem.

– Zadzwonię do ciebie, kiedy wyląduje – powiedziałem. – Spróbujemy wtedy coś wymyślić.

Kończąc rozmowę, nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Skoro mama cierpiała na psychozę, dlaczego lekarze wypuścili ją ze szpitala? Nawet jeśli nie mogli jej zatrzymać z jakichś formalnych powodów, powinni przecież zawiadomić

mojego ojca. A jednak nie zrobili tego; potraktowali go jak wroga, pomagając jej uciec nie ze szpitala, ale od niego. Inni ludzie wcale nie uważali, że jest chora. Ktoś z personelu linii lotniczych sprzedał jej bilet, ochroniarze poddali kontroli bezpieczeństwa... nikt jej nie zatrzymał. Zacząłem się zastanawiać, co takiego pisała na ścianach. Przez cały czas miałem przed oczyma przesłane mi mailem zdjęcie, na którym tata rozmawia z nieznajomym.

Danielu!

Nabrałem przekonania, że to było wołanie o pomoc.

. . .

Na tablicy przylotów ukazał się komunikat, że samolot mamy wylądował. Kiedy otworzyły się automatyczne drzwi, podbiegłem do barierki, żeby sprawdzić przywieszki na bagażach pasażerów. Wkrótce pojawili się pasażerowie z Göteborga. Pierwsi szli dyrektorzy wypatrujący laminowanych tabliczek ze swoimi nazwiskami, za nimi pary i rodziny z całymi stertami walizek na wózkach. Mamy nie było, mimo że zawsze poruszała się bardzo żwawo i nie sądziłem, by miała coś oprócz bagażu podręcznego. Minął mnie starszy mężczyzna, z pewnością jeden z ostatnich pasażerów z Göteborga. Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do taty i nie zawiadomić go, że coś poszło nie tak. Nagle drzwi z sykiem się otworzyły i wyszła przez nie mama.

. . .

Wzrok miała utkwiony w podłodze, jakby podążała za sypanymi przez kogoś okruszkami chleba. Niosła sfatygowaną, mocno wypchaną skórzaną torbę podróżną, której pasek wrzynał

jej się w ramię. Nigdy wcześniej nie widziałem u niej tej torby; nie była to rzecz, którą by sobie normalnie kupiła. Jej ubranie było podobnie jak torba mocno podniszczone. Miała zdarte buty, podwinięte wokół kolan nogawki spodni i brakowało jej guzika u bluzki. Mama lubiła się stroić – ubierała się elegancko do restauracji, teatru, a nawet do pracy, chociaż wcale nie było takiej potrzeby. Razem z ojcem prowadzili kiedyś centrum ogrodnicze w północnym Londynie, położone na działce w kształcie litery „T” między otynkowanymi na biało domami i kupione na początku lat siedemdziesiątych, gdy ziemia w okolicy była tania. Podczas gdy tato nosił znoszone dżinsy, ciężkie buciory oraz powyciągane swetry i palił własnoręcznie skręcane papierosy, mama preferowała wykrochmalone białe bluzki do wełnianych spodni w zimie i bawełnianych w lecie. Klienci komentowali często jej nieskazitelną modę, zastanawiając się, jakim cudem udaje jej się nigdy nie pobrudzić, mimo że pracowała fizycznie tak samo ciężko jak tato. Zapytana o to, śmiała się i wzruszała niewinnie ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Nie mam zielonego pojęcia!”. Ale wszystko to było wykalkulowane. Zawsze miała zapasowe ubranie na zapleczu. Powtarzała mi, że reprezentując firmę, musi dbać o wygląd.

. . .

Pozwoliłem, by przeszła obok, ciekaw, czy mnie w ogóle zauważy. Była wyraźnie chudsza niż wtedy, gdy żegnaliśmy się w kwietniu, powiedziałbym nawet, że wychudzona. Spodnie wisały na niej luźno jak na drewnianej kukielce. Pozbawiona wszelkich krągłości, wyglądała jak postać z kreskówki, a nie kobieta z krwi i kości. Krótkie blond włosy sprawiały wrażenie wilgotnych; były zaczesane do tyłu, śliskie i gładkie, nie od żelu czy brylantyny, lecz od wody. Po wyjściu z samolotu wstąpiła

pewnie do łazienki i próbowała doprowadzić się do porządku, zadbać o to, by jej włosy wyglądały jak należy. Jej zawsze młodzieńcza twarz mocno się postarzała w ciągu ubiegłych miesięcy. Cera, podobnie jak ubranie, była w marnym stanie. Miała ciemne plamy na policzkach, a zmarszczki pod oczyma bardzo się uwydatniły. Za to zażawione niebieskie oczy wydawały się jaśniejsze niż kiedykolwiek. Obchodząc barierkę, cofnąłem instynktownie rękę, bojąc się, że głośno krzyknie, jeśli jej dotknę.

– Mamo.

Podniosła przestraszona wzrok, ale widząc, że to ja, jej syn, triumfalnie się uśmiechnęła.

– Danielu.

Wymówiła moje imię tak samo jak wtedy, gdy była ze mnie z jakiegoś powodu dumna – ze skrywaną, intensywną satysfakcją. Kiedy się ściskaliśmy, przytuliła twarz do mojej piersi, a potem odsunęła się i wzięła mnie za ręce. Przesunąłem ukradkiem kciukiem po jej palcach. Skórę na nich miała szorstką, paznokcie połamane i niezadbane.

– Już po wszystkim – szepnęła. – Jestem bezpieczna.

. . .

Szybko przekonałem się, że umysł ma ostry jak brzytwa. Natychmiast zauważyła mój bagaż.

– Po co to wzięłeś? – zapytała.

– Tato zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem i powiedział, że jesteś w szpitalu.

– Nie nazywaj tego szpitalem – przerwała mi ostro. – To był dom wariatów. Uznał, że to dla mnie odpowiednie miejsce: pośród ludzi, którzy wyli jak zwierzęta. A potem zadzwonił do ciebie i powiedział ci to samo. Twoja mama zwariowała. Czy nie tak właśnie było?